DODATEK TYGODNIOWY.

Nro. 45. Dnia 8. Listopada 1851.

Podróże po Bieskidach,

czyli:

opisanie gór karpackich, zawartych pomiędzy źródłami Wisły i Sanu.

Przez Ludwika Zejsznera.

(Dalszy ciąg. Ob. Dod. tyg. N. 43 i 44.)

Kopalnia sama rozciąga się w tymże kierunku co pokład, t.j. ze wschodu na zachód, i na téj linii ciągną się szyby jeden za drugim, okryte na wierzchu ostrokręgowatemi dachami. Szybami nazywają się otwory czworograniaste, łączące wnętrze kopalni z powierzchnią ziemi; sąto nasze studnie, tylko w Wieliczce nierównie są przestronniejsze. Szybów w obecnym czasie jest jedenaście, każdy ma swoje imię; niektóre są bardzo dawne. Szyby Regis i Wodna Góra są najdawniejsze, nawet czas ich założenia niewiadomy; według wszelkiego prawdopodobieństwa otworzone zostały na końcu XIV wieku i przez pięć wieków sól przez nie wydobywano. Spodek szybu Wodna Góra jest najgłębszym punktem w całéj kopalni, i wynosi 763 stóp paryzkich; tam zbiérają się wszystkie słone wody, pospolicie do najwyższego stopnia solą nasycone, ztąd zostają na wiérzch wyciągane i wylewane do rzéki. Ilość ta jest dosyć znaczna, corocznie wynosi około 20.000 beczek o dziesięciu wiadrach. Systematyczne sprowadzanie surowicy czyli słonéj wody do jednego punktu, jest ze wszech miar zgodném z gospodarstwem kopalni, albowiem roboty podziemne mogą się tak rozwijać jak tego potrzeba zachodzi. Ilość wody zbiérającéj się w kopalni wielickiéj, w porównaniu z innemi kopalniami równéj rozległości, jest bardzo mała. Przyczyna tego pochodzi od stosunków przyrodzonych. Przyroda pełna przezorności, obwinęła sól jakby pokrywą iłu, który wodę nie przepuszcza i tylko tam się wciska, gdzie popękała ta osłona.

W dawniejszych czasach wyrabiano sól z surowicy, ale coraz większy brak drzewa stał się powodem już w r. 1724, że zamknięto korbaryą czyli warzelnię. Z lustracyi (urzędowe zdanie sprawy komisyi rozpoznawającéj żupę) w r. 1661 odbytéj dowiadujemy się, że się składała z cztérech wież, w których były panwie i suszalnie; rynnami płynęła do nich surowica z szybu Wodna Góra, wyciągana worami zszytemi z dwóch skór wołowych. Jeszcze dziś podobnym sposobem wydobywają surowicę w Dobromilu, Starosoli, Dolinie i t. d.. Zachowały się wiadomości ile wyrabiano soli warzonéj; w wymienionym roku wygotowano 490 warów, a za każdy płacono po 36 ówczesnych złotych; w r. 1674 cena ta podniosła się od waru do 90 złotych.

Jeszcze zdarza się słyszéć w powszechności zdanie o nadzwyczajnéj rozciągłości kopalni wielickiéj; że aż pod Wisłę podchodzi. Sąto zupełnie bezzasadne zdania, mające tylko podstawę w rozbujałéj wyobraźni. Rozległość wielickiéj żupy znamy bardzo dokładnie, jak i wszystkie podziemne roboty, które z największą ścisłością są nakréślone na właściwych kartach, w zarządzie górniczym wielickim złożonych. Na téj zasadzie podaję wymiary żupy wielickiéj jak następuje: długość czyli rozciągłość kopalni wynosi 1.500 sążni, szerokość zaś tylko 500 sążni; głębokość największa wynosi tylko 126 sążni. Żupa ta rozwijała się od najdawniejszych czasów z zachodu na wschód, i ztąd wynikł podział na Stare pole, Nowe pole i Janinę. Stare pole leży w końcu zachodnim, i jest najdawniejszą częścią kopalni; do niéj wchodzą owe pradziady szybów wielickich: Regis i Wodna Góra. Ze Starém styka się Nowe pole, czyli środkowa część kopalni; na wschodnim końcu kopalni leży ostatnia część Janina, tak nazwana na cześć oswobodziciela Wiédnia, w r. 1718 założona. W każdém polu odbija się właściwy czas: zwiédzając Stare pole spotykamy same nizkie, pokrzywione chodniki czyli korytarze podziemne, krzyżujące się rozmaicie: widać brak zasady. Zupełnie inaczéj jest w Nowém polu i w Janinie: obszerne chodniki, nadzwyczajnie długie, proste, wykonane są ze zbytkiem, jakiego nie widziałem w żadnéj innéj kopalni. Co do głębokości dzieli się znów kopalnia na trzy piętra: sąto poziomy rozciągające się po całéj kopalni; najobszerniejsza płaszczyzna zajmuje pierwsze piętro, inne mniéj są obszerne. Pomiędzy niemi znajdują się piętra pośrednie. Te piętra stały się powodem do zupełnie nieprawdziwego obrazu wnętrza kopalni wielickiéj, upowszechnionego nietylko w obcych, ale i krajowych dziełach, i żałować należy, że podróżni dotąd nie mogą otrzymać wiernych wizerunków tego świata podziemnego. Na każdém piętrze liczne są komory czyli próżne przestrzenie, połączone chodnikami. Komory powstałe z wybrania soli, bardzo odmienne mają postacie, stojące w związku z budową całego pokładu; komory w soli zielonéj wyrobione, mają pospolicie mniéj więcéj trzy równe wymiary. Sąto zapewne największe jamy na świecie, i ta ich wielkość jest przyczyną owego niewygasłego wrażenia, którego doznają zwiedzający. Żadna znana jama naturalna w Polsce, w Węgrzech, w Niemczech, we Francyi i w Alpach, nie może się co do wielkości równać z wielkiemi komorami wielickiemi; największa komora Michałowice ma 126 stóp długości, 90 szerokości, a 84 wysokości; nieco mniejsze, ale również wspaniałe są: Urszula, Steinhauser i t. d.

W dawniejszych czasach wybrano jeszcze potężniejsze bryły soli zielonéj, ale te tak były niezmiernemi, że jamę nie można było utrzymać, i strop w wielu miejscach podpierano niezmiernemi filarami, składającemi się z nieprzeliczonych warstw pni. Komory wyrobione w solach pokładowych spiżowéj i szybikowéj, nie mają ani takich razmiarów, ani wspaniałości: sąto nizkie, długie przestrzenie, niczém nie zajmujące oko, nikt ich też nie zwiedza; znajdują się w głębszych częściach kopalni. Aby utrzymać tak wielkie jamy wśród soli i iłu, rozpuszczających się z łatwością w wodzie, pozostawiają na ich wierzchu warstwę soli. Mimo téj ostrożności, przez rozwinięcie robót górniczych ciśnienie miejscami tak jest wielkie, że zagraża zawaleniem; w podobnych przypadkach podpiérają strop czyli sklepienie jamy filarami. W dawniejszych czasach, kiedy gęste lasy okrywały przyległe wzgórza, robiono filary z drzewa; niezmierne warstwy pni układano na sobie, niektóre dochodzą do 120 stóp wysokości. W starém polu czynią na zwiedzającym wrażenie, jakoby się znajdował w składzie drzewa. Pomimo wilgoci, zachowuje się drzewo doskonale, albowiem sól go przejmuje i ochrania od robaka i spruchnienia; od kilku wieków zostając w kopalni tak jest zdrowem, jakby dopiéro było wniesionem.

Ten rodzaj filarów stawał się coraz kosztowniejszym, a zarazem niebezpiecznym. W téj masie nawalonego drzewa zajmował się ogień, i dawał początek niezmiernym pożarom, mianowicie w XVI i XVII wieku; niezmiernie gryzące dymy, często przez cały rok nie dozwalały odbywać roboty w żupie. Teraz zastępują tańsze i stosowniejsze filary owe kaszty drewniane starożytnego górnika; wyrabiają je z nieczystéj soli w ciosy obrabiane, i spajają małą ilością drzewa. Mimo tych wszystkich środków ostrożności, zapadają się jeszcze komory. Niejeden już był przypadek: ostatni wydarzył się w roku 1832, na drodze do Klasnego. Nim samo zapadnięcie nastąpiło, odrywała się od spodku warstwa za warstwą ziemi, a straszliwe huki podziemne zapowiadały grożące niebezpieczeństwo. Jak w blizkości wulkanów, tak w Wieliczce wiedzą dobrze mieszkańcy, co znaczą te łomotania, i przerażeni opuszczają swe mieszkania unosząc dobytek.

Podobny zapad opisuje Schober, wydarzony w piérwszéj połowie zeszłego wieku, w r. 1745. Po tém zapadnięciu mieszkańcy wieliccy na powierzchni uczuli tak silne wstrząśnienie, jak przy trzęsieniu ziemi; w kopalni zaś ściśnięte powietrze sprawiło niezmierne zamieszanie: poukładane bałwany soli zwaliło na jednę kupę, w poblizkich szybikach drabiny do wstępowania górników przeznaczone w górę wyparło, dach zaś nad przyległym szybem zwaliło. Ciśnienie stropu po komorach zagraża ciągle w jednych tylko mniéj aniżeli w drugich. Przekonać się można o tém na pniach pionowo stojących, często 2 stopy mających, które w średnicy są zgniatane jakoby słomka w palcach trzymana i z przeciwnych stron ciśniona: i tak naciskany jest nie jeden pień, ale całe ich rzędy.

W jednéj z komor wyporządzono salę do tańca: jest w niéj miejsce dla orkiestry, a z przeciwnéj strony urządzono wystawę z transparentem okolonym różnobarwnemi lampami. Kiedy znakomite osoby zwiedzają żupę, bywają dawane w niéj bale, obiady, śniadania.

Nierównie głębsze wrażenie sprawiają wielkie komory, gdzie sztuka nic nie dodała, zostając w stanie jak je górnik pierwotnie

wyrobił. Pomiędzy niemi odznacza się przed wszystkiemi już wspomniona komora Michałowice; kiedy ognie bengalskie nagle ją oświetlą, poznajemy dopiéro całą jéj rozległość: coraz dalsze a dalsze otwierają się przestrzenie, i zdaje się że niémasz końca. Widok ten głęboko przejmuje duszę, i wprawia ją w niewymowne zadumienie; w tém właśnie leży ów urok. Mniejsze, ale w swoim rodzaju właściwe wrażenie sprawia, kiedy przewodnicy w jednym końcu téj jamy, u samego wierzchu usadowieni, zapalają miotły w smole maczane i na spód rzucają, i gdy pada ich ostatni pęk, a iskry na wszystkie strony rozpryśnięte, jeszcze od chwilki do chwilki odsłaniają rozległość jamy. Znak to, że trzeba puścić się długim chodnikiem, i przy świetle kaganka szukać nowych komor, nowych wrażeń. Pomiędzy komorami dwie jeszcze zasługują na wzmiankę: Franciszek i Rossetti. W piérwszéj długi most, środkiem oparty na potężnym słupie w soli wykutym, prowadzi ponad niezmiernemi głębiami, niekiedy w spodku przy słabém świetle kaganka dobywają górnicy sól, wydając przytłumione huki. Kiedy po długiéj wędrówce po nieprzeliczonych chodnikach i komorach, przybywa pielgrzym zwiedzający te podziemia do jeziora w komorze Rossetti, czeka go również szczególny jak niespodziany widok: woda jego do najwyższego stopnia nasycona, już nie rozpuszcza nadbrzeżnych ścian soli, ma prawie też samą ciężkość co ciało człowieka, i dlatego nie tak łatwo byłoby tutaj utonąć. Wśród zupełnéj ciszy, nadpływa obszerna łódź dla przewiezienia na drugą stronę podróżnych; z licznego orszaku oddzielają się przewodnicy postępując wolnym krokiem w górę, i przedstawiają również malowniczy, jak szczególny widok. W środku jeziora nagle zbliżają się ściany, łódz wpływa do ciaśniny 20 kroków długiéj i znów roztwiera się jezioro, mające też same wymiary co piérwéj. Na przeciwnym jego końcu stoi nad brzegiem niezgrabnie z soli wyciosany śty Jan Nepomucen; przewodnicy obiegłszy bokiem jezioro, czekają na podróżnych z palącemi się miotłami. Po zwiedzeniu jeziora opuszczają pospolicie podróżni żupę, a wychodzących czeka niespodziane wrażenie i przejmuje duszę mimowolna radość, ujrzawszy światło dzienne; znów bowiem jesteśmy w znanym nam żywiole, pod wszystko ożywiającym błogim promieniem słońca.

Robotnicy składają się ze samych Polaków, od niepamiętnych czasów zajmujących się górnictwem; mieszkają oni nietylko w Wieliczce, ale we wszystkich prawie sąsiednich wioskach, jakoto: Sierczy, Lednicy, Sygneczowie, Babicach, Kossocicach, Krzyszkowicach, Koźmicach i t. d. Jestto ród ludzi bardzo silnych i muszkularnych, właśnie zdatnych do robót, w których przeważa siła fizyczna. Namiętnie przywiązani do swego zatrudnienia, wszystkie swe myśli i wyobrażenia zwracają do kopalni, i podobnie jak inni górnicy bardziéj są myślący, w siebie zwróceni; zwykle okazują widoczny pociąg do dumania, czego nie widać na ich sąsiadach rolnictwem zajętych.

Kierunek usposobienia umysłowego górników wielickich, do czego przyczynia się głównie większa część życia w ciemnościach kopalni, przy słabém świetle kaganka spędzona, częste niebezpieczeństwa na które naraża ich zatrudnienie, wpłynęły na wyrobienie wydatniejsze w nich uczuć religijnych. Przebiegając kopalnię napotykamy nieprzeliczone kaplice i obrazy świętych, a przed niemi świécą się lampy, kosztem górników utrzymywane. Ze wszystkich kaplic najciekawszą jest kaplica śgo Antoniego, na piérwszém piętrze, przez podróżnych odwiedzana. W przeszłym wieku z własnéj chęci wyciosał ją prosty górnik; wszystko w niéj jest ze soli: ściany, spód, ołtarz z posągiem Chrystusa kolosalnéj wielkości, kazalnica, a nawet dwie osoby klęczące przed głównym ołtarzem; każda ozdoba, każdy szczegół, a nawet i w boku stojący posąg króla Augusta II Sasa są ze soli. Ale wilgoć niszczy tę kaplicę coraz bardziéj, wszystko nią powleka i na zwiedzającym obudza pewien rodzaj wstrętu. W główniejsze święta odbywa się w niéj nabożeństwo; kaplicę tę umiłowali szczególniéj górnicy i zwykli się zbiérać nader gromadnie.

Sól dobywają jakby z łomu kamienia; żeby zaś nie była zbyt nieforemną, odrywają z pokładu czworograniaste bryły zwane kłopciami. Kłopieć jest pospolicie 10 do 15 stóp długi, a 5 do 6 szeroki; kiedy się odrywa, pada z hukiem, a w kopalni rozlegają się ponure odgłosy, powtarzające się jakby od dalekiego piorunu. Z kłopcia wyrabiają beczkowate bryły, nazywane bałwanami. Już wspomina o nich statut Kazimiérza Wielkiego. Dawniéj bałwany były nierównie cięższe aniżeli teraz, ważyły od 20 do 35 cetnarów. Owe bryły soli na targach leżące, nadawały w owych czasach charakterystyczne wejrzenie naszym miastom; teraźniejsze bałwany ważą $2^1/_2$ cetnara. Kruchami nazywają się graniaste ułamki 30 do 50 funtów ciężkie; drobniejszą sól nabijają w beczki i tak na sprzedaż wystawiają. Każdy rodzaj zatrudnienia ponazywano w wielickiéj żupie od czasów niepamiętnych; górnicy dzielą się pomiędzy sobą bardzo rozmaicie, a mianowicie na istotnych górników i pomocników. Piérwsi nazywają się właściwie żelaźnikami i znów dzielą się na piecowych, co wyrabiają piece czyli chodniki, świdrują dziury i wysadzają prochem skały; kopacze obrabiają bałwany; kruchowi, kruchy, a dawniéj za pomocą spiczaka odrywali ułamki soli: beczki nabijali tak nazwani kruszlacy, jednakże ten sposób otrzymywania soli został zaniechanym; wreszcie burtowi byli doświadczeni górnicy, co sposobili do roboty poczynających. Pomocnicy dzielą się stosowie do zatrudnienia: rozwożący sól właściwemi wózkami, nazywają się wozaki; znoszący i nabijający sól, noszaki; wyciągający sól szybikami i szybami, szybowi. Prócz wymienionych jeszcze są kopalniowi cieśle, bednarze, kowale i stajenni. Odwiedzając żupę, często napotyka się w tych obszernych komorach roboty rozłożone jakby na powierzchni ziemi; w innych miejscach zdala słychać kołatających bednarzy, co zabijają beczki napełnione solą. Takie strony kopalni nader są ożywione, i często się zdaje, że jesteśmy na powierzchni; tu z hukiem pędzą próżne wózki, naładowane poruszają się wolniéj; tylko głuche echa straszliwie odbijające się przypominają, że jesteśmy w innym świecie, w świecie, gdzie promień światła życia organicznego nie wywołuje. Na piérwszém piętrze kopalni znajduje się podziemna kuźnia, w któréj kilku kowali stępione żelaza górnikom zaostrzają; jeden z dawnych szybów służy jéj za komin. Na témże piętrze jest obszerna stajnia dla 30 koni; pomimo braku światła, zwierzęta te zupełnie są zdrowe, pięknie wypaszone i wesołego wejrzenia; pospolicie zostają pod ziemią 10 lat. Konie potrzebne są do wyciągania soli, za pomocą kieratów, przez szybiki z głębokich piętr na piérwsze. Na powierzchni ziemi wyciągają wszelką sól wielkiemi kieratami po 25 do 30 cetnarów. Urządzenia te mechaniczne nie noszą na sobie piętna postępu czasu, są bowiem puścizną najdawniejszego czasu.

W stajniach zagnieździły się zwyczajnie myszy, będące często prawdziwą plagą; wyjadają obrok koniom, a robotnikom przygotowane śniadania i łój do oświetlenia potrzebny. Tak wiele jest ich teraz w kopalni, że nie można nic z pokarmu przechować. Na ich wytępienie oddają Wieliczanie szkodników kotów, gdzie pospolicie czeka ich smutny koniec: w ciemnościach muszą łapać myszy, a chociaż znajdują wyżywienie dostateczne, nie mają czém pragnienia zaspokoić, bo wszędzie tylko słona woda; pospolicie giną z pragnienia, lub uganiając się za myszami wpadają do szybików.

Prócz myszy żyją w kopalni owady, jak np. małe czerwone chrabąszcze; są one czasem dosyć liczne w opuszczonych miejscach kopalni, gdzie robotnicy chodzą z potrzebą. Profesor Erichson oznaczył ten gatunek jako *Ptinus crenatus*, żyjący pod Berlinem w podobnych miejscach; często widać te chrabąszcze na soli naciekowéj, a nawet w niéj utkwione, i ztąd poszły owe powieści, o chrabąszczach w soli. W częściach wilgotniejszych kopalni, pokazują się na ścianach chodników komory, jak mi się zdawało niczém nieróżniące się od zwyczajnych, tylko są bardzo słabe i wpół przezroczyste.

Liczba robotników zmieniała się w rozmaitych czasach, mianowicie też w nowszych: około roku 1750 według Schobera, zatrudniała kopalnia 450 do 500 robotników, a razem z pracującymi na powierzchni 700. Zdaje się, że ta liczba trwała od dwóch wieków, albowiem kraj nie powiększając znacznie swéj ludności, mniéj więcéj też samą ilość soli potrzebował, a użycia innego prócz do jadła nie znano. W czasie spólnego posiadania żupy wielickiéj Austryi z z Księztwem Warszawskiém, doszła do największego stopnia ilość rocznie dobywanéj soli, a z nią liczba robotników. To jednak krótko trwało; w roku 1840 liczba robotników wynosiła 885, i składała się z 54 piecowych, 94 kopaczy, 100 kruchowych, 503 pomocników, 53 dozorców, 76 zatrudniała służba zewnątrz kopalni.

Już od najdawniejszych czasów pobierają górnicy płacę od wydzielonéj roboty; piérwszy żupnik Porinus za Kazimiérza Wielkiego już ją prowadził. Z wielką ścisłością obrachowano teraz, ile górnik w 8 godzinach może soli wykopać, i wyznaczono że dziennie winien zarobić kopacz 3 złp. gr. 4, piecowy 2 zpł. gr. 24, kruchowy 2 złp. gr. 15, pomocnicy za dzień pobiérają 1 zł. gr. 3, chłopcy zaś 16 gr. pospolicie z dniem kończą się wszystkie roboty w kopalni, w nagłych wypadkach tylko odbywają prace w nocy.

(D. n.)

Rok 1549.

Ponowienie wolności na wolny wrąb w lasach królewskich.

Sigismvndvs Avgvstvs. Dei gratia Rex Poloniae Magnux | Dux Lithwaniae, Rvssiae, totius Prussiae, Masouiae, Samogithiaeque etc. dominus et haeres. Significamus praesentibus literis. quorum interest. vniuer|sis et singulis. Produxisse coram nobis Ciues **Biec**enses. literas Diui Wladislai Poloniae Regis. Proaui nostri desideratissimi. Qvibus plena illis | Libertas conceditur. in syluis Regiis. ligna et robora pro illorum necessitate: et vsu publico excidendi et euehendi ad beneplacitum Magesta|tis illius duratura. Qvoniam vero per Capitaneos **Biec**enses: vel eorum vicecapitaneos. propterea difficultas exhibetur. quod ad beneplacitum ea | libertas concessa illis sit. Volentes eos hac difficultate liberare. declarandum duximus declaramusqué praesentibus literis. non posse nequé de|bere Capitaneos **Biec**enses: eorumque vicecapitaneos ab vsu syluarum praedictarum prohibere. nisi habeant à nobis literas. quibus eam liberta|tem per proauum nostrum illis de censibus concessam reuocemus. Alioquin habebunt semper libertatem Ciues **Biec**enses pro ea iniuria et damnis. | inde acceptis contra Capitaneos: vel eorum vicecapitaneos agendi. Jn cuius rei fidem et euidens testimonium Sigillum nostrum praesentibus est ap|pensum. Dat(um) **Cracou**iae feria tercia post festum assumptionis Beatae Mariae virginis proxima Anno Domini **Millesimo. Quingentesimo. Quadragesimo. Nono.** Regni vero nostri vigesimo.

Zygmunt August *z Bożej łaski król polski, wielki książę litewski, ruski, całych Prus, mazowiecki, żmójdzki i t.d. pan dziedziczny — podawamy niniejszem pismem do wiadomości wszem i każdemu z pojedencza, komu o tem wiedzieć należy: jako Mieszczanie* **Biecc***y przedłożyli nam świętej pamięci Władysława króla polskiego a pradziada naszego nam wielce miłego pisanie, mocą którego nadane im zupełne, aż do dalszego tegoż króla Mości rozporządzenia trwałość mieć mające upoważnienie do wolnego wrębu w lasach królewskich i wywozu drzewa tudzież dębów tak na własną potrzebę jak na pospolity użytek. Ponieważ zaś Starostowie* **Biecc***y lub Podstarostowie onych dlatego, iż trwałość wolności tejże zostawiona woli królewskiéj, różne czynili trudności; chcąc przeto wzmiankowanych Mieszczan od tych przeszkód uwolnić, postanowiliśmy obwieścić jakoż obecnie obwieszczamy niniejszem pismem: iż Starostowie* **Biecc***y również jako i Podstarostowie onych ani mocni są ani mają wzbraniać im użytku z lasów przerzeczonych, chybaby otrzymali pisemne rozporządzenie nasze, którem onę przez pradziada naszego nadaną od czynszów swobodę odwołamy. Jnaczéj wolno będzie zawsze Mieszczanom* **Biec***kim na Starostach lub Podstarościch dochodzić krzywd i szkód, jakie ztąd poniosą. Na co dla wiarygodności i dowodniejszego świadectwa pieczęć nasza u niniejszego zawieszona. Dano w* **Krakow***ie czwartku następnego po święcie wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny, roku pańs 1549 panowania naszego zaś roku 20go.*

Po lewéj stronie pod tą treścią własnoręczny Maciejowskiego Samuela podpis: co znaczy

Samuel Eps. Crac(oviensis) et R(egni) P(oloniae) Ca(n)cell(arius) s(u)pr(emus)

Samuel *Biskup Krakowski i Królestwa Polskiego Kanclerz najwyższy.*

Po prawéj stronie zaś:

R(e)l(ati)o R(ever)en(di) in Chr(ist)o p(at)ris domini Samuelis Maczieiow|skii Episcopi Cracouien(sis) et Regni Poloniae Can|cellarii

Przedkład Wielebnego w Panu księdza Samuela Maciejowskiego biskupa Krakowskiego i kanclerza korony polskiéj.

Pieczęć wisiała, jak calowe rozerznięcie w zagiętym pergaminie świadczy, na pasku jak zwykle pergaminowym.

Winniki 2go listopada 1851. W. F.

Babunia.

— Moja Julciu, tylko szczérze: Niechcesz Gustawa, niepodoba ci się?

— Babuniu, już mówiłam i powtarzam: wolę zostać starą panną niż pójść za niego.

— A to postanowienie! Ale niemogłabyś mi powiedzieć z czego ci się ten biedny Gustaw tak niepodobał? Co upatrzyłaś w nim? mów otwarcie; pojmuję wszystko moja duszko, bo niezawsze mi było lat ośmdziesiąt.

— I mnie się tak zdaje; ale Babuniu jeźli już mam mówić otwarcie, sądzę, że kiedy komu lat ośmdziesiąt, tedy w nim niema wrażeń z lat siedemnastu... daleko jedno drugiemu!

— Pewnie! ale co do mnie zaręczam że niestraciłam pamięci, i doskonale przypominam sobie młode lata, czyli jak ty mówisz, moje wrażenia, bo i ja miewałam swoje wrażenia!

— Istotnie?

— Dlatego też znam cię lepiéj niż się spodziewasz... a na dowód iż zgaduję dla czego Guciowi odmawiasz.

— Czy podobna!

— Słuchaj! oto twoje żale do Gustawa: ma lat trzydzieści, więc za stary; lubi życie wiejskie, więc odludek;, myśliwy lubi polować, więc nudziarz; nie stroi się do świata, nie szczebiocze słodyczy, więc nieznośny... a potem jeszcze moja duszko: nie kochasz Gucia, bo ci się zdaje że kochasz Artura.

— Ja?

— O! co za raczki!... śmiało moje dziecię, wszak prawda?

— Prawda!... Babuniu, ale nie moja wina... uczucie samo przemogło.

— Uczucie przemogło? Cudownie, wszakto żywcem moje własne wrażenia... zupełnie słowo w słowo. Teraz kiedyś dorosła moja lubciu, opowiém ci co się ze mną działo.

— Co się z tobą działo, kochana Babuniu? Ach! ciekawam!

— Byłam może w twoim wieku gdy mi rodzice radzili męża, twego dziadunia; był-to mężczyzna młody, przystojny, przyzwoicie ułożony i z zasadami naszego wieku; moja familia bardzo go poważała.

Gdy mi piérwszy raz o nim wspomniano, spuściłam oczy i rozpłakałam się. Mój ojciec upatrując w tém dziecinną rzewność, postanowił zwlec moją wyprawę na kilka miesięcy; ale ja za nic w świecie nie byłabym mu wyznała powodu mojéj niechęci.

A miałam przyjaciółkę trochę starszą od siebie, nazywała się Antosia; umysł jéj zaprawiony na dziwacznych romansach, bawił się wymysłami.

Bieglejsza odemnie wzięła wkrótce przewagę nad moją prostotą. Opowiadała mi w wyrazach wzniosłych pyszne hystorye, jakich się doczytała, a do nich przyczyniała marzeń własnych drugie tyle; ja w nie tak wierzyłam, że mi się mąciło w świecie i nie rozeznawałam istoty od wymysłu. Tu mi się wydawało wszystko nikczemnem, zachody gospodarskie śmiesznemi, nie pojmowałam jak to można zamknąć się w stadło małżeńskie z duszą poziomą, jak Antosia mówiła. Dla mnie trzeba było szczęścia idealnego, jakiego w otoku moim nie było, ale szczęścia uplecionego roszczką kwiecistą; tak mówiłam z natchnienia poetycznego Antosi.

Gdzieś w czasach tych marzeń moich, zeszedł się mój ojciec przypadkiem z jednym z znajomych swoich osiadłym na wsi, który dla spraw sąsiedzkich teraz w Paryżu przebywał. Ten przyjaciel przedstawił mu synowca swego; a byłto młodzieniec bardzo w towarzystwach wzięty, tańczył przecudnie, a mówił jak woda płynie bez przerwy. Twarzyczka śliczna, fryzurka jak wykroił nienaganna, strój wydatny osobliwością dobrego smaku; tak wyglądała zachwycająca osoba tego dla kogo piérwsze łzy wylewałam.

Nazywał się margrabia de Neufcastel.

— Jakto! ten stary jegomość z długim nosem, Babuniu... ta peruka ruda... co nieumié i poczciwego wymówić słowa, a w salonie szuka tylko krzesła z poręczami, ażeby drzymać wygodnie kiedy z wizytą przyjdzie?

— Ah! moja duszko! ty nic nie szczędzisz... pamiętaj że to mój był kochanek!

— Dla Boga! ale jakże mógł się podobać nawet kiedy był młody? Ani dowcipu, ani grzeczności, cóżby tam w nim zajmować mogło?

— Przepraszam cię: miał fraczek papuży jak wtedy noszono, a powiém ci że był to stroik wcale piękny, wpadał mu prześlicznie do stanu i robił go dziwnie zgrabnym; do tego chodząc przechwiewał się cudnie jak trzcinka; fryzurka *a la grecque* doskonale upudrowana; pomada jakiéj szukać pełna woni piżmowéj; a przytem w ustach słówka wyszukane, wtedy jeszcze nowe, coś tak zawsze słodziutko wyszczebiotały że mojem zdaniem musiał to być człowiek wyższego rzędu.

Kiedy to komu lat siedmnaście, łatwo się zwodzi; i ja podchlébiałam sobie że mnie margrabia wyszczególnia; zwierzyłam się Antosi, a Antosia mię przekonała, że istotnie byłam kochaną.

Dopiéro zaczęłam całą duszą zajmować się mym bohatyrem; gdy co mówił, zadziwiał mię urok jego wymowy; gdy milczał, zastanawiał mię statek jego przezorny. On był dla mnie wzorem prawdziwéj godności pańskiego rodu, i dożyczałam mu cnót jakiemi się tyl-

ko szczycić piękna dusza może; a iż rzadko u nas bywał, złudzenia mego nic nie raziło, owszem utrwalało się, bom go widywała właściwie tylko w liczniejszém zebraniu, gdzie się młodzież zwykle powagą nadstawia.

Uprzedzona o sobie, nie zwierzyłam się matce, zatapiałam się coraz mocniéj w marzeniach i przysięgłabym była że się kochałam w margrabim. Co to mi wtedy nie snuło się po myśli, a jakie poświęcenia nie układałam!

I właśnie kiedy te dumania moje miłośne pieszczę, właśnie jak ci mówię, zapowiadają mi rodzice oświadczenia twego dziada, i musiałam się rozpłakać.

Matka moja roztropna nic nienalega; alo domyślając się niebezpiecznego wpływu usunęła zręcznie Antosię, i po kilku miesiącach ponowiła życzenia pana de Vaudreuil. P. Vaudreuil niemiał za sobą nic tak świetnego; prosta dusza i szczéra, z waleczności w wojsku sławiony, i szanowany powszechnie. W nim zapowiadano mi dobrego męża, świetne związki, majątek znaczny; ale co to wszystko było w porównaniu słodkich usteczek margrabi, papuziego stroju i fryzurki *a la grecque* upudrowanéj i zapiekanéj jak u nikogo lepiéj.

Lecz matka czułością swoją i serdecznością tak mię ujęła, żem się jéj z wszystkich skrytości serca mego zwierzyła, błagając o litość by mię ofiarą nie poświęcała. Uśmiechnęła się gdym jéj skreślała obraz doskonałości jaką serce moje w panu de Neufcastel upatrywało.

— Córko moja odpowiedziała, ani myśl by ojciec twój albo ja sama mogli cię kiedy poświęcić; szczęście twoje jest nam droższe nad nasze własne; za nami mówi tylko doświadczenie na którem tobie zbywa, i wiemy że los jaki ci doradzamy, nie tylko przyjąć możesz, ale że jest godnym ciebie ze wszech miar.

Wprawdzie te słowa jeszcze nie usunęły zasłony z przed uczu marzeń miłośnych, lecz matka w pamięć zwierzenia mego, podała mi sposobność poznania lepiéj uwielbianego bohatyra.

Odtąd zaczęto młodego margrabi grzeczniéj i często przyjmować a iż mój ojciec był dobrze u dworu, nadzieja protekcyi wiązała bardzo p. de Neufcastel do naszego domu.

Miałam więc sposobność przypatrzyć się i przysłuchać jak najdokładniéj co o nim w towarzystwie mówiono i porównać ile on sam na to zasługiwał.

Moi bracia i siestrzeńce nie wiedząc nic o skrusze i modłach do mego patrona miłości, opowiadali różne i różne dziwactwa margrabi, bawiąc siebie i drugich szaleństwem jego. Dosłuchałam się jak margrabia przepędza czas na kartach i szklance z kolegami swego doboru. A niemając z czego dogadzać rozpustom, zaciągał długi gdzie mógł; pokazało się że nic nie umie, nawet ograniczony w tem co każdy wiedzieć powinien; a mimo to chełpliwy w urojeniu mądrości nad miarę; zgoła że się szczyci jak to bywa przywarami, bez najmniejszych przymiotnych zalet.

Gdym postrzegła tę wzgardę na jaką zasługiwał u wszystkich, wstydziłam się sama siebie że skarby uczucia mego przeniosłam nie na osobę wyboru rodziców moich.

Moja matka ubolewała nademną; ale mój ojciec co lubił żarty, dodał: spróbuj pójść wprzódy za p. de Vaudreuil a ja mu sprawię fraczek papuzi równie elegancki jak u p. de Neufcastel.

Usłuchałam rodziców bez żalu, bo od chwili, gdy mój bohatyr sam pospotwarzał swoje urocze wdzięki, przypatrywałam się bliżéj p. de Vaudreuil i nie czułam do tego najmniejszéj odrazy.

Obchodzono nasze wesele bardzo okazale, a p. de Neufcastel ożenił się nie długo potem z wdową nierównie starszą od siebie ale majętną.

Wkrótce potém rewolucya wstrzęsła wszystkie związki towarzystwa; emigrowaliśmy, i przypadkiem zeszliśmy się na obcéj ziemi z państwem de Neufcastel, ubodzy byli jak prawie wszyscy wychodźcy, ale los ich był nierównie opłakańszy, bo lekkomyślność margrabi nie była w stanie walczyć z nieszczęściem. Wysunięty z zakoła swego, przyszło mu własnych sił powoływać, aże tam wewnętrznego zasobu nie było wiele, mało też miał związków a przyjaciół wcale nie.

Z powrotem do Francyi umarła mu żona, potém nadeszły mozoły przedwczesnéj starości; wtedy znalazł w mężu moim — nie mówię przyjaciela, ale u niego schronienie przed samotnością, a po zgonie dziada twego postanowiłam z natchnienia niejakiejś powinności podać biednemu starcowi to na czém zbywa każdemu który sam jeden na świecie stoi... kącik w domu i małą rozrywkę.

Oh! pewnie ani mu w myśli żem ja kiedyś za nim szalała! ja sama się dziś temu dziwuję.

— Wszak on taki ponury, taki nudziarz!

— A przecież dla niego, moja Julciu, o mało nie walczyłam z całą familią; masz teraz dowód jakto można wydać sobie głowę i w stworzeniu powszedniem upatrzyć osobę romansu. Cóż ty nato?

Julia spuściła oczy, jakaś ją dolegliwość mięszała.

— Zgaduję, mówiła Babunia, już milczę. Nie będę ci więcéj mówiła o moim Guciu, który przecie najlepszy chłopiec jakiego znałam; zostawiam ci czas do namysłu; ale chciéj rozpatrzyć się bliżéj w charakterze Artura; pozwól mi czasami napomknąć co sama dostrzegę, a ty mi powiesz potém czy kawaler twego wyboru zupełnie jest godzien twéj ręki, czy twoje serce istotnie stale mu sprzyja, albo czy nie były to tylko złudy wymyślne.

— Pójdę za radą twoją Babuniu.

I wyrzekła to z westchnieniem żalu.

We trzy miesiące potém obchodzono u p. Vaudreuil wielką uroczystość.

Notaryusz zawezwał Julię do podpisu, a ręka Julii nie drżała. Młody mężczyzna spokojny i poważny stał obok niéj; nic na nim nie było widać osobliwego, ale Julcia i Babunia ufały mu.

W kącie pokoju, stał dziad ośmdziesiąt-cztéroletni, oko zmartwiałe, usta zeschłe, nic nierobił jeźli niespał; stał tam ze zwyczaju, sam niewiedząc dla czego.

Elegancik jakiś kręcił się po salonie, muskał wąsiki, lornetował tu i ówdzie, nadstawiał się wszędzie; Julia na niego patrzyła z obojętnością.

— O czém myślisz? szepnęła Babunia do Julci.

— Babuniu, chciałabym wiedzieć, szepnęła jeszcze ciszéj panna młoda, chciałabym wiedzieć czy p. de Neufcastel był podobny w dzień podpisu ślubnego do p. Artura.

— Jak kropla wody do kropli, moje dziecię... wyjąwszy ubior... Dla czegoż mię o to pytasz?

— Bo myślałam, że może kiedyś p. Artur będzie zupełnie podobny do p. de Neufcastel.

— Święte słowa twoje.

Przylądek Dobréj Nadziei.

Południowa Afryka stała się teraz widownią wojny, która może być dla rządu angielskiego bardzo niedogodna. Te zamieszki Anglików z Kaframi, ogólne wzbudzają zajęcie. Nigdy jeszcze namiętność zdobywcza i nadużycie siły, sprawiedliwiéj i zupełniéj ukaranémi nie były.

Kiedy przylądek Dobréj Nadziei popadł w ręce Anglików, była to kolonia kwitnąca, zaludniona i silna w sobie. Holendrzy żyli zawsze w zgodzie z krajowcami, których obyczaje spokojne i łagodne, skłaniały do tego; stopniowo tylko posuwali się oni w głąb kraju, i nigdy te ich postępy, nie stały się powodem nawet sprzeczki, jedyną więc obawą kolonistów, były szkody które im jakie błąkające się pokolenie wyrządzić mogło.

Rząd holenderski zawsze tam po ojcowsku postępował, dla tego koloniści boleli mocno, widząc zrywające się węzły, które ich łączyły z Holandyą. Nie podobało się to Anglikom, powzięli nieufność do téj mnogiéj ludności, która ze wszystkich stron obarczała nielicznych ich urzędników, która niewzruszenie zachowywała obyczaje, zwyczaje i język, stawiała nieprzebytą zaporę pomiędzy sobą, a wszystkiém co tylko angielskiém nazwać się mogło. Lud wiejski w szczególności, nie taił się z swoją nienawiścią przeciwko językowi i zwyczajom angielskim, i wkrótce pewien rodzaj walki tajemnéj wybuchnął pomiędzy zarządem kolonialnym a Boerami, tak bowiem nazywają się potomkowie kolonistów holenderskich, którzy się trudnią wychowaniem bydła, i prowadzą życie pasterskie w obszernych równinach Afryki południowéj. Ta nieprzyjaźń pomiędzy rządem a kolonistami, wzmagała się ciągle. Stan rzeczy pogorszył się wkrótce, kiedy filantropi i koloniści angielscy zaczęli wglądać w sprawy prywatne Boerów. Przymuszono ich do wyzwolenia niewolników, nie wynagradzając im strat przez to poniesionych, mięszano się we wszystkie stosunki z własnymi ich służącymi i Hotentotami, nibyto w chęci zabronienia ukrywania się niewolnictwa, pod pozorem dobrowolnego kontraktu. Misyonarze chcieli nawracać Hotentotów, oskarzali Boerów o pogaństwo, i zaczęli gwałtem pomiędzy nimi zaprowadzać obrządki nabożeństwa anglikańskiego.

Wielka liczba Boerów, znużona ciągłem prześladowaniem zarządu kolonialnego, postanowiła dla uniknienia misyonarzy i filantropów, w głąb Afryki się wydalić. Gubernator przylądka Dobréj Nadziei, otrzymał z zadziwieniem wiadomość, że z każdym dniem kolonia się wyludniała; Boerowie uciekali, pędząc przed sobą trzody, a żony i dzieci na wozach z sobą zabierając. Ta emigracya ciągle szła na północ, dążąc ku znajomemu sobie brzegowi morskiemu wschodniéj Afryki, nazwanemu Port Natal. Boerowie utworzyli w tém miejscu niepodległe pokolenie, ziemia którą zajmowali, nigdy nie była własnością Holandyi, nie mogła więc była być ustąpiona Anglikom, uważali się słusznie, niebędąc w obrębie zarządu przylądka Dobréj Nadziei, wolnymi od wszelkiego posłuszeństwa dla rządu angielskiego.

To nowe pokolenie liczyło już dziesięć tysięcy ludzi, a w stosunku tego ciągłego zwiększania się emigracyi, łatwo było przewidzieć, że Kap wkrótce zupełnie wyludnionym zostanie. Anglicy udali się więc w pogoń za wychodźcami, wojsko ich wylądowało wkrótce w Port Natal, chcieli wojną zmusić Boerów do powrócenia nazad pod ich panowanie, a podług zwyczajów angielskich, ta wojna była straszliwą, wyniszczająca. Pędzono Boerów jak dzikie zwierzęta, podbudzano Kafrów przeciwko nim, mordowano ich kobiety i dzieci, palono domostwa i trzody. Trzeba było uledz, i Port Natal wkrótce został kolonią angielską ogłoszony, chociaż to był rzeczywiście kraj Kafrów, i nigdy tam dotąd jeszcze noga Anglika nie postała.

Boerowie ulegli pod żelazną ręką siły, ale w sercu żywili straszną nienawiść przeciwko rządowi angielskiemu, który im tak niesprawiedliwie i tak nieludzkiémi środkami narzucono. Podczas gdy władze angielskie zaczęły Port Natal zajmować, i sprowadzono tam z wielkiemi kosztami angielskich kolonistów, Boerowie powoli i nieznacznie zaczęli się usuwać w głąb kraju. Wkrótce emigracya rozpoczęła się nanowo. Boerowie udali się na zachód, i zwracając się nagle ku północy, zatrzymali się o pareset mil od Kapu, nad brzegami rzeki Orange. Ale Anglicy udali się za nimi, i tam wkrótce także rozciągnęli swoje panowanie. Najzacietsi jednak z Boerów, nie poddali się tak łatwo losowi, ciągnęli oni daléj swój pochód na północ, ciągle gnani przez Anglików, którzy zajmowali każdą kolonię, nowo przez nich założoną, Boerowie porzucili rolnictwo i przyjęli życie błędne, i nareszcie w rozpaczliwéj ucieczce, przebywszy pustynie, które się o sto mil za rzeką Orange rozlewają, oraz góry kończące te pustynie, znaleźli nareszcie spoczynek i bezpieczeństwo na brzegach tego ogromnego jeziora, które część średniéj Afryki zajmuje. (D. n.)

Główny Redaktor **M. Srzeniawa Sartyni.** Z c. k. galic. Drukarni rządowéj.